

Jan Czaja

ZACHÓD - POZYCJA I UWARUNKOWANIA GLOBALNE

Cywilizacja zachodnia i jej wartości

Odkąd znaczenie czynników kulturowych oraz ich wpływ na bezpieczeństwo narodowe państw i bezpieczeństwo międzynarodowe stały się przedmiotem analiz naukowych, coraz częściej badania te odnoszą się również do cywilizacji Zachodu i jej relacji z resztą świata. Przedmiotem analiz są też zmiany, jakie zachodzą w obrębie cywilizacji zachodniej, zwanej także euroatlantycką¹. Rzecz przy tym charakterystyczna, że o wiele intensywniej bada się zmiany zachodzące w łonie tej cywilizacji, a zwłaszcza symptomy kryzysu, niż czynniki i okoliczności, które zdecydowały o tak potężnym, bezprecedensowym jej rozkwicie, jaki nastąpił w XIX wieku.

Zachód jako pojęcie zaczął się kształtować około połowy XIX wieku, wraz ze świadomością istnienia podziału Europy na Wschód i Zachód, na kraje zacofane i rozwinięte. Od razu trzeba powiedzieć, że Wschód niewiele miał wspólnego z Orientem, istniejącym poza Europą, który lepiej rozwinięta część Europy (zachodnia) podporządkowała sobie przez podboje kolonialne. Zachód stawał się jednocześnie bardziej przynależnością cywilizacyjną niż geograficzną – bo niektóre obszary, jak na przykład Europa Środkowa, oscylowały między przynależnością do Wschodu lub Zachodu, w zależności od wydarzeń historycznych² – ale także i myślenia, a zwłaszcza samooceny elit intelektualnych. Dalej podział był już ostrzejszy – zaczynało się prawosławie, a wraz z nim Wschód.

¹ Terminu „cywilizacja lub wspólnota euroatlantycka” używa się najczęściej, by podkreślić te więzy i wartości, które – jak kłamra – spinają oba brzegi Atlantyku. Dotyczy to szczególnie kwestii bezpieczeństwa międzynarodowego a najsilniejszym elementem tejże kłamry jest Sojusz Północnoatlantycki. Dla podkreślenia tego termin „euroatlantycki” stosuję właśnie do tych kwestii.

² Takich, jak obie wojny światowe, ukształtowanie systemu wersalskiego, upadek imperium otomańskiego.

Prawdziwy rozkwit Zachodu jako systemu identyfikacji cywilizacyjnej przypada na okres II wojny światowej i czasy powojenne, zwłaszcza gdy żelazna kurtyna definitywnie, na prawie pół wieku, rozdzieliła dwie części Europy. Jednak i wcześniej Zachód (a jeszcze bardziej Europa) nie był tworem homogenicznym, bo obydwie wojny światowe wyszły z jego łona, a kraj-kontynent – Stany Zjednoczone, produkt cywilizacji europejskiej, przez ponad sto lat swej historii kierujący się izolacjonizmem, musiał dwukrotnie interweniować i ratować cywilizację europejską przed nią samą. Po II wojnie światowej Stany Zjednoczone definitywnie stały się częścią Zachodu, będąc przez cztery dekady, w obliczu zagrożeń ze Wschodu, głównie ze strony totalitarnego, komunistycznego mocarstwa – Związku Radzieckiego, główną ostoją niezależności Zachodu, gwarantem jego suwerenności i podstawą dobrobytu.

System wartości – aksjologia cywilizacji euroatlantyckiej – tworzył się w odpowiedzi nie tylko na zagrożenia zewnętrzne, ale i wewnętrzne, bo pamiętano, że do obu wojen doprowadził przecież nacjonalizm niemiecki (choć do tej ostatniej wspólnie z totalizmem sowieckim). Stworzone zostały więc dwie wspólnoty, które stały się podstawą tej aksjologii: Sojusz Północnoatlantycki – dzięki któremu można było mówić o cywilizacji euroatlantyckiej – oraz Wspólnoty Europejskie. Tym samym Zachód, odgrodzony „żelazną kurtyną”, stał się uosobieniem tych samych wartości dla zachodniej części Europy oraz Ameryki Północnej (USA i Kanady), synonimem cywilizacji wolnego świata. Natomiast na wschód od Łaby panował system komunistyczny, zniewalający narody, będący antytezą cywilizacji i mimo iż żywiono współczucie dla narodów Europy Środkowo-Wschodniej, nic na to nie można było poradzić. Propaganda komunistyczna, jak tylko mogła, usiłowała to zmienić, kreując z Zachodu synonim zła, dekadencji, czyniąc go odpowiedzialnym za wszystko zło – od niższego poziomu życia na Wschodzie aż po biedę Trzeciego Świata, będącą skutkiem imperializmu i kolonializmu.

W różnych wariantach sytuacja ta, wsparta potęgą arsenałów nuklearnych i konwencjonalnych obu bloków polityczno-militarnych oraz ustaleniami KBWE i innymi porozumieniami, trwała aż do przełomu lat 80. i 90. XX wieku, kiedy to w wyniku Jesieni Ludów, komunizm – a wraz z nim ZSRR – został obalony i wyrzucony na śmietnik historii. Zachód miał triumfować, a pięknie to dokumentowała teoria Fukuyamy, dekretnując ustrojowy koniec historii. Ale rychło, już w kilka lat po upadku komunizmu, zaczęły się pojawiać symptomy nie triumfu a kryzysu Zachodu.

Dziś, gdy mniej rozeznany w problemach świata czytelnik czyta różne opracowania, może być skonfundowany. W dniu swej inauguracji prezydent Stanów Zjednoczonych George W. Bush – a wcześniej jeszcze jego poprzednik Bill Clinton – mówił o bezprzykładnej potędze Ameryki, jedyne go supermocarstwa (hipermocarstwa – jak z przekąsem mówili inni), którego przewaga nad resztą świata jest udokumentowana faktami i dodatkowo wzmocniona porównywalną potęgą gospodarczą Unii Europejskiej. Z drugiej jednak strony pojawiają się alarmujące tytuły w rodzaju: *Śmierć Zachodu*, *Samobójstwo Zachodu* czy *Zmierzch wielkiego imperium Zachodu*.

du³. Inna sprawa, że ten swoisty katastrofizm nie jest nowością, bo pojawił się kilkadziesiąt lat po głośnej książce Oswalda Spenglera pt. *Zmierzch Zachodu*, opublikowanej w latach 30. XX wieku⁴. Mało tego, jakby na potwierdzenie tego typu katastroficznych wizji, pojawiają się doniesienia, że Amerykanie pilnie studiują symptomy upadku wielkich imperiów i cywilizacji – zwłaszcza *Imperium Romanum* i otomańskiego. Czy to tylko przypadek?

Jednocześnie jednak równie często widoczne są inne hasła i tytuły, podkreślające potęgę głównie Ameryki, takie jak: *Dominacja czy przywództwo, Hegemonia albo przetrwanie, Potęga i raj, Imperium Americanum*⁵. Gdzie jest więc prawda? Prawda wynika z faktów i tendencji. A fakty są takie, że Zachód to nadal niekwestionowana potęgą gospodarczą, finansową, naukową, techniczną i kulturalną. Cały Zachód, łącznie z Japonią, to dwie trzecie światowego PKB oraz podobne proporcje jeśli chodzi o udział w handlu międzynarodowym, potencjale wytwórczym i światowych inwestycjach. W tych statystykach nadal dominująca jest pozycja Stanów Zjednoczonych⁶.

Jeszcze bardziej zdecydowana jest przewaga Stanów Zjednoczonych w zakresie innowacyjności, a szczególnie zdolność do wytwarzania wysokich technologii. W tym zakresie możemy mówić o dychotomicznym podziale świata na Stany Zjednoczone i resztę globu, przy czym przewaga amerykańska ma tendencję rosnącą. Dotyczy to także osiągnięć naukowców amerykańskich, którzy od lat zdobywają większość prestiżowych nagród międzynarodowych, w tym nagród Nobla przyznawanych za najwybitniejsze osiągnięcia naukowe.

W dziedzinie wojskowej przewaga amerykańska jest jeszcze większa. Niebawem 50% światowych wydatków na zbrojenia przypadnie Stanom Zjednoczonym, które ostatnio zaczynają przenosić zbrojenia także w kosmos, niedwuznacznie dając do zrozumienia, iż rezerwują sobie swoistą wyłączność na działania w tej dziedzinie. Przekłada się to w oczywisty sposób na zdolności obronne i operacyjne armii amerykańskiej, jedynej zdolnej do interwencji w każdym punkcie globu, determinuje także zdolności obronne NATO.

Ameryka jest też biegunem globalizacji. To z USA płynie główny strumień kultury masowej, filmów i elektronicznej informacji, dyktujący zuniformizowane, egalitarne wzorce gustów i mody, od postaci disneyowskich, McDonalds'a, Coca-coli, aż po kształtowanie nowych zwyczajów, sposobów spędzania wolnego czasu i świąt w rodzaju Walentynek czy Halloween. Strumień na tyle silny, że nawet Europa Zachodnia, kolebka Zachodu i główny przez wieki siewca europocentryzmu, próbując

³ Do pierwszych dwóch publikacji odnoszę się w dalszej części opracowania, a trzecia: *Zmierzch wielkiego imperium Zachodu*, jest autorstwa M. Jankowiak, zob. <http://www.pino.pl/article/view/id/433/title/zmierzch> (8 VIII 2007).

⁴ Tytuł książki Spenglera, do której niżej się odwołuję, niekiedy tłumaczony jest jako *Koniec Zachodu*. Warto zwrócić uwagę na ważną tutaj pracę Arnolda Toynbee'iego, *Studium historii*, przeł. J. Marzęcki, Warszawa 2000. Odsyłam też do opracowania Grzegorza Lewickiego, *Transatlantyckie katharsis*, <http://www.psz.pl/in dex.php?option=content&task=view&id=3149> (7 VIII 2007).

⁵ Trzy pierwsze pozycje z tej grupy cytuję w dalszej części artykułu. *Imperium Americanum* to tytuł książki T.A. Kisiielewskiego, Warszawa 2004.

⁶ Zob.: World Bank, *World Development Indicators*, Washington 2005.

nadal oddziaływać na świat, teraz sama zmuszona jest wprowadzać bariery ochronne, które partnerzy zza Oceanu nazywają niekiedy antyamerykanizmem.

Symptomy kryzysu czy oznaki zmierzchu Zachodu

Można byłoby powiedzieć po tej analizie, że z Zachodem, a szczególnie z Ameryką nie jest źle, skąd więc wzięła się opinia o słabości i kryzysie Zachodu? Stąd przede wszystkim, że istnieje druga strona tego obrazu, już nie tak optymistyczna, która nakłada się na procesy mające korzenie znacznie wcześniejsze. Wszystkie przedstawione fakty i dane są prawdziwe, ale tendencje ich rozwoju nie są korzystne dla Zachodu. W większości z przedstawionych dziedzin przewaga Zachodu, w tym Stanów Zjednoczonych, maleje, niepokojące są także niektóre procesy o charakterze politycznym, gospodarczym, demograficznym i kulturowym, które osłabiają spójność i potęgę Zachodu.

Przede wszystkim ani Zachód, ani osobno Ameryka – mimo determinacji tej ostatniej – nie są w stanie samodzielnie kształtować porządku międzynarodowego i określić warunków bezpieczeństwa międzynarodowego. Wydawało się, że w okresie, który nastąpił po zimnej wojnie, zwycięskie i jedyne supermocarstwo, Stany Zjednoczone, określi nowy ład międzynarodowy oraz wspólnie z Unią Europejską i NATO, poszerzonymi o nowych członków z Europy Środkowo-Wschodniej, będzie tym nowym ładem, zwłaszcza w zakresie bezpieczeństwa międzynarodowego, skutecznie zarządzać. Po 11 września 2001 r., a także w wyniku niepowodzeń w Iraku, wizja ta nie została zrealizowana. Stany Zjednoczone, choć nadal są supermocarstwem, nie stały się jednak niekwestionowaną władzą i potęgą międzynarodową. Możemy mówić nawet o pewnym paradoksie: amerykańska potęga zapewniająca przede wszystkim w zakresie potencjału militarnego bezprzykładną przewagę nad światem, nie może być odpowiednio skonsumowana, z powodu błędów poczynionych w polityce zagranicznej i bezpieczeństwa, arogancji oraz fatalnego wizerunku w świecie⁷. Często ta bezsila, a także arogancja i ignorancja jedyne supermocarstwa, wraz z jednoczesnym przekonaniem o hegemonii w świecie (a więc obawa przed jej utratą); prowadzi do działań niezrozumiałych, a nawet niebezpiecznych dla społeczności międzynarodowej, gdyż stanowią one wyzwanie dla prawa i zasad współżycia międzynarodowego, powodując również napięcia w stosunkach transatlantyckich.

⁷ Ogromny potencjał wojskowy determinuje amerykańską kulturę strategiczną, skłania do myślenia „na częstotliwościach militarnych” i do prób rozwiązywania problemów taką właśnie drogą. Przynosi to ograniczone rezultaty, zwłaszcza jeśli chodzi o *war on terrorism* – walki z terroryzmem, której środkami militarnymi wygrać się raczej nie da. Daje to asumpt różnym komentatorom, na tle katastroficznych wizji, iż „zmierzch Zachodu jest nieodwracalny”, a także do wypowiedzania dość kuriozalnych opinii, że: „USA chwiewają się militarnie...” (zob. A. Uchańska, *Zbawieniny zmierzchu cywilizacji Zachodu?*, [w:] *Zderzenie cywilizacji. Sąd nad teorią Samuela Huntingtona*, red. P. Marczewski i P. Świeżak, Warszawa 2006, s. 103, <http://psz.pl/content/view/3296/30>). Cóż, jeśli taka jest, zdaniem autorki, sytuacja państwa, które, dysponując wyżej opisanymi zdolnościami, wydaje blisko 50% światowych wydatków na zbrojenia, to jaka musi być sytuacja innych krajów?

Jednocześnie jednak fakt, iż pojęcie cywilizacji Zachodu związane jest tradycyjnie z dwoma ośrodkami geopolitycznymi, Europą Zachodnią i Ameryką⁸, stanowi ważny atrybut Zachodu, dając pewien *handicap* nie tylko w zakresie bezpieczeństwa i obrony, lecz także możliwości dywersyfikowania działań, na przykład w gospodarce i innych dziedzinach, w stosunkach z innymi cywilizacjami. Apogeum gospodarczej potęgi Zachodu przypadło na przełom XIX i XX wieku, kiedy to ponad dwie trzecie światowego dochodu pochodziło z krajów Zachodu, a nad imperiami kolonialnymi mocarstw europejskich nigdy nie zachodziło słońce. Wielka wojna, która toczyła się przede wszystkim w Europie, zahamowała ekspansjonizm europejski, spowodowała przesunięcia na korzyść USA w zakresie produkcji przemysłowej, handlu, obiegu kapitału i inwestycji w ramach cywilizacji Zachodu.

Procesy te jeszcze bardziej nasiliły się w wyniku II wojny światowej, gdy gospodarka amerykańska stała się zdecydowanie najsilniejszą na świecie: dysponowała nie tylko około 40% światowego PKB, ale i równoważyła w praktyce gospodarki europejskie. Potencjał Zachodu był nadal, mimo przesunięcia za Ocean, duży, lecz właśnie od tego momentu zaczął się powolny, aczkolwiek dostrzegalny proces spadku wpływów gospodarczych. Obecnie ciężar gospodarczej grawitacji świata powoli przesuwa się ku Dalekiemu Wschodowi i Azji Południowo-Wschodniej. Świadczy o tym wiele wskaźników gospodarczych i finansowych, w tym wzrastający udział tego obszaru w handlu międzynarodowym, rosnące nadwyżki w obrotach handlowych i kapitałowych z Zachodem, przechwytywanie coraz większych kwot światowych inwestycji. Rosnące zadłużenie wewnętrzne i zewnętrzne USA, chroniczny deficyt budżetowy i handlowy, słabnący kurs dolara, przez ponad 150 lat, symbolu amerykańskiej potęgi, to już nawet nie symptomy, ale wyraźne objawy kryzysu.

Myśliciele i teoretycy zauważali to od dawna. W 1918 r. Oswald Spengler napisał pierwszą wersję książki *Zmierzch Zachodu. Zarys morfologii historii uniwersalnej*⁹. Przewidział w niej upadek Zachodu nie tyle w oparciu o fakty czy symptomy, bo takich po prostu jeszcze nie było¹⁰, ile w oparciu o teorię cykliw kulturowych, zgodnie z którą cywilizacja miała być nieuchronnym przeznaczeniem kultury, dojściem do fazy starości (po fazie młodości i dojrzałości), zakończeniem cyklu dziejowego. Zdaniem Spenglera, Zachód właśnie zaczął wchodzić w taką fazę¹¹.

Wtórowały mu inne głosy, które na tle „szalonych lat dwudziestych”, emancypacji kobiet, zmian w moralności i obyczajowości, pogardy dla zasad i kultury elit, a zarazem przenikania do mas totalitarnych wzorców ze Wschodu, zapowiadały niedające się jeszcze określić zmiany¹². Jak puentuje to Kieniewicz: „Europa przystępowała do niszczenia podstaw własnej cywilizacji”¹³.

⁸ Jak zaznaczyłem wyżej, pojęcie to ulega pewnej ewolucji.

⁹ W oryginale *Der Untergang des Abendlandes. Umriss einer Morphologie der Weltgeschichte*. Zob. wyd. polskie, przeł. J. Marzęcki, Warszawa 2001.

¹⁰ Może z wyjątkiem przejawów „dekadenckiego” zachowania elit i europejskiej bohemy z czasów *fin de siècle* i początków XX wieku.

¹¹ O. Spengler, *The Decline of the West*, New York 1926, s. 31–50.

¹² Wyczuwał je już J. Ortega y Gasset, *Bunt mas*, przeł. P. Niklewicz, Warszawa 1995, s. 194 i nast.

¹³ J. Kieniewicz, *Wprowadzenie do historii cywilizacji Wschodu i Zachodu*, Warszawa 2003, s. 297.

W polityce europejskiej symptomy degradacji zaczęły pojawiać się jeszcze szybciej niż objawy dekadencji w kulturze i moralności. Sprzyjał temu izolacjonizm Ameryki. Jak pisze Robert Kogan: „Amerykańska odmowa uczestnictwa w instytucji stworzonej przez Wilsona [Ligi Narodów], zniweczyła skądinąd niewielkie szanse jej powodzenia”¹⁴. Statut Ligi Narodów był XXI rozdziałem traktatu wersalskiego, ważnym elementem całego ładu wersalskiego. Ten grzech pierworodny Ligi Narodów, brak wśród członków jej twórcy, źle rokował zarówno samej Lidze, jak i łaadowi, którego miała być ostoją. Dalszego demontażu ładu, który miał trzymać w ryzach i Niemcy i Rosję, dokonały już same mocarstwa europejskie – Francja i Wielka Brytania – w Rapallo i Locarno, godząc się na szkodliwe dla tego ładu zapisy. Nie rozpoznano też w porę istoty europejskich totalitaryzmów: faszystowskiego i komunistycznego. Reszty dopełniła kompromitująca polityka *appeasementu* – uspokajania i ustępstw wobec Hitlera.

Skutki bezpośrednie są znane, skutki pośrednie trwają do dziś. I wojna światowa osłabiła Europę i jej rolę w świecie, ale nie przestała ona być aktorem globalnym, natomiast II wojna światowa zmiotła ją ze światowej szachownicy jako potęgę gospodarczą, polityczną i militarną, a dodatkowym skutkiem była dzieląca na pół kontynent „żelazna kurtyna”. Co prawda Europa Zachodnia dość szybko odbudowała swoją pozycję w kulturze, stopniowo także w gospodarce (dzięki planowi Marshalla, a potem integracji), ale politycznie, wobec zagrożenia ze Wschodu, pozostawała w stanie strategicznej zależności od Stanów Zjednoczonych, stając się faktycznie na blisko pięćdziesiąt lat wojskowym protektorem mocarstwa zza Oceanu. Towarzyszyło temu jeszcze jedno niepokojące zjawisko: niechęć, brak woli i zdecydowania Europejczyków, by wziąć na siebie ciężar wydatków niezbędnych do zapewnienia Europie bezpieczeństwa, czy to w ramach NATO, czy poprzez stworzenie efektywnej Europejskiej Polityki Bezpieczeństwa i Obrony. Był to też czynnik zmian w europejskich zwyczajach i kulturze strategicznej.

Zmiany dotyczyły także innych aspektów sytuacji europejskiej. Zaczęły następować przemiany w myśleniu europejskich elit, które zaowocowały przewartościami w obyczajach i kulturze, odchodzeniem od religii, relatywizacją dotychczasowych kanonów i wartości. Przyczyną było wiele czynników, z których co prawda każdy działał oddzielnie, ale razem stworzyły swoisty eklektyzm myśli, mody, nowych nurtów i możliwości, zbudowały nieznane przedtem nośniki informacji, kultury masowej, idei. Europa Zachodnia zadziwiająco szybko, dzięki własnym zdolnościom, pomocy amerykańskiej, ale także i masowo ściąganim do pracy cudzoziemskim robotnikom (zwanym eufemistycznie „gastarbeiterni”, robotnikami-gośćmi), odbudowała się nie tylko ze zniszczeń wojennych, ale i stała się obszarem dobrobytu. Europejska myśl – kultura uwolniona od trosk materialnych, mogła skierować się w nowym kierunku: *cultus animae* – uprawy duszy. Nowe nie znaczyło lepsze, a często oznaczało także odwrócenie kanonów wartości.

Ujawniać się zaczęły także skutki ponadnarodowej integracji: dobre w zakresie integrujących się europejskich gospodarek, eliminowania tradycyjnego nacjonalizmu

¹⁴ R. Kagan, *Potęga i raj. Ameryka i Europa w nowym porządku świata*, przeł. W. Turopolski, Warszawa 2003, s. 20.

zmu, budowy wspólnych wartości i kultury politycznej, ale niepokojące jeśli chodzi o pozycję państwa narodowego jako skutku relatywizacji narodowej suwerenności, osłabianie poczucia patriotyzmu i kulturowej przynależności. Tradycyjne wartości europejskie: wiara w Boga, oparta o nią moralność, małżeństwo i rodzina wielodzietna, zaczęły przechodzić do przeszłości. Tworzyła się nowa Europa, której populacja nie rosła, lecz kurczyła się, która tracąc chęć (i możliwości) do chrystianizacji i cywilizowania innych narodów, straciła poczucie cywilizacyjnej misji. Europa zamknięta bardziej w sobie, w opłótkach integracji, w której miejsca dawnych wartości zajmowały nowe: materialny hedonizm, kultura masowa, kult pieniądza, pornografia i wulgarny seks. Europa, która małżeństwom homoseksualnym zaczęła poświęcać więcej miejsca niż ochronie tradycyjnych małżeństw i rodzin, rozpadających się w narastającej fali rozwodów. Oznaczało to śmierć kultury opartej na religii, a nowy szlak wyznaczał proces laicyzacji, unikanie jak ognia jakiegokolwiek wzmianki o roli religii w życiu publicznym, a pochodniami tej „kultury śmierci” – jak ją nazwał Jan Paweł II – stały się aborcja, eutanazja, antykoncepcja i sterylizacja. To właśnie rozpowszechnienie tych czynników islam obawia się bardziej niż jakichkolwiek innych zderzeń cywilizacji.

Procesy te nie zachodziły równolegle po obu stronach Atlantyku. Świadomość potęgi militarnej dodawała i dodaje nadal Amerykanom pewności siebie i przekłada się na kulturę polityczną i strategiczną. Syndrom 11 września i, coraz bardziej, Iraku tylko w niewielkim stopniu zmienia to przekonanie. Po mniej więcej 150 latach wspólnej historii, Europa i Ameryka zamieniają się miejscami. Ameryka nadal wierzy przede wszystkim w siłę militarną, Europa będąca przez wiele wieków siedliskiem boga wojny, po doświadczeniach dwóch wojen światowych woli dyplomację i negocjacje. Agresja i stanowczość została zastąpiona przez poprawność polityczną. Tak jest w polityce międzynarodowej, w stosunkach z Rosją, w postrzeganiu i odnoszeniu się do dyktatorów „państw zbójeckich”, w relacjach ze światem islamu. Stany Zjednoczone widzą to inaczej. Różnice te przechodzą w pęknięcia. Coraz silniej widoczne są także w kulturze.

Religia nadal więcej znaczy dla Amerykanów niż Europejczyków i więcej jest jej w życiu politycznym, choć nie brakuje z tego powodu protestów. Jednak do niedawna purytańska Ameryka przeżywa obecnie swoją rewolucję kulturalną. Następuje jakby odwrócenie moralności, jak twierdzi były kandydat na prezydenta USA Patrick J. Buchanan: „To, co kiedyś było niemoralne i karygodne, staje się postępowe i chwalebne. Seks, sława, pieniądze, władza – wokół nich obraca się nowa Ameryka”¹⁵. Nietzsche nazwał ten proces „przewartościowaniem wartości”, w którym dawne cnoty stają się grzechem, a dawne grzechy cnotą. Świat wartości przewraca się do góry nogami.

W tych akurat kwestiach przewartościowań kulturowych nie ma wielkich różnic między elitami Ameryki i Europy Zachodniej. Źródłem tych zmian jest bowiem przede wszystkim masowa migracja i narastający problem wielokulturowości, a to rodzi nowe wyzwania. Próby ich administracyjnego rozwiązywania kłócą się nie

¹⁵ P. J. Buchanan, *Śmierć Zachodu*, przeł. J. Morka, Wrocław 2005, s. 15.

tylko z duchem tożsamości kulturowej, lecz urągają wręcz zdrowemu rozsądkowi, jak choćby w przypadku kart wielkanocnych czy bożonarodzeniowych, gdy z powodu poprawności politycznej eliminuje się (np. w Stanach Zjednoczonych czy we Francji) jakiegokolwiek kontekst chrześcijański. Zachód czyni różne ustępstwa i wydaje koncesje, masowo udziela zgody na budowę meczetów, wprowadza niepisaną cenzurę na niektóre słowa, takie jak np. „krucjata”, unika jakiegokolwiek skojarzeń o podtekście religijnym lub obyczajowym, które mogłyby być wykorzystane przez kręgi fundamentalistyczne. Innymi słowy, Zachód okazuje swoją słabość, cofa się i nagina nawet te kanony i instytucje, które są jego ostoją, jak prawo i wymiar sprawiedliwości. Proces O. J. Simpсона w Stanach Zjednoczonych czy zachowawczość władz we Francji wobec zamieszek na tle etniczno-rasowym, są niezwykle wymownym tego przykładem. Inni – czy to krąg konfucjański czy islam – takich problemów nie mają, nie okazują nawet odrobiny dobrej woli w takich kwestiach, jak prawa człowieka czy tolerancja religijna i kulturowa.

Problem nie jest jednak nowy. Jego symptomy, jak już podkreślałem, pojawiały się już w okresie międzywojennym oraz później, gdy zimna wojna i wymogi rywalizacji Wschód–Zachód przesłoniły inne sprawy. Warto zacytować Jamesa Burnhama, który w *Samobójstwie Zachodu*, w 1964 r., tak pisał o tym problemie:

Nie wiem, jaki jest powód wyjątkowo szybkiego upadku Zachodu, ale najlepiej ilustruje ten proces pogłębiająca się u przywódców Zachodu utrata wiary w samych siebie, w wyjątkowość ich własnej cywilizacji oraz związana z tym słabość zachodniej woli przetrwania. Myślę, że powód, czy też powody, mają wiele wspólnego z rozpadem religii i nadmiarem materialnego luksusu oraz zmęczeniem, wyczerpaniem, które ma miejsce w wypadku wszystkich doczesnych spraw¹⁶.

James J. Buchanan, który zamieszcza ten cytat i w pełni się z nim solidaryzuje, w pełnej pasji książce o wymownym tytule *Śmierć Zachodu*, sam stawia diagnozę tej postępującej choroby Zachodu. Píše on tak:

Zachód jest najbardziej rozwiniętą cywilizacją w historii a Ameryka najbardziej rozwiniętym krajem – pierwszym na polu gospodarczym, naukowym, technologicznym i militarnym. Nie istnieje drugie supermocarstwo o podobnie wielkiej mocy. Europa, Japonia i Ameryka kontrolują dwie trzecie światowych bogactw, dochodów i mocy produkcyjnych. Ale Ameryka i Zachód stoją przed czterema wyraźnymi niebezpieczeństwami. Pierwszym z nich jest wymierająca populacja. Drugim jest masowa imigracja ludzi różnych kolorów skóry, wyznań i kultur, zmieniających charakter Zachodu na zawsze. Trzecim jest dojście do wpływów zapewniających dominację antyzachodniej kultury na samym Zachodzie; kultury głęboko wrogiej wobec jego religii, tradycji i moralności; kultury, która już oddaliła się od Zachodu. Czwartym jest rozpad narodów i niemoc elit rządzących wobec rządu światowego, którego powstanie pociąga za sobą koniec narodów¹⁷.

Z głównym nurtem myśli Buchanana można się zgodzić, nawet jeśli nie do końca wiadomo, co oznaczają słowa o rządzie światowym i nawet jeśli niektóre elementy tej diagnozy mogą budzić wątpliwości. Można się jednak domyślać, że owym rządem światowym są struktury międzynarodowe – multilateralizm, w tym ONZ,

¹⁶ J. Burnham, *Suicide of the West*, New York 1964, s. 301. Cyt. za: P. J. Buchanan, *Śmierć Zachodu*..., s. 298.

¹⁷ *Ibidem*, s. 297–298.

NATO, UE i inne organizacje międzynarodowe, takie jak MFW, Bank Światowy czy WTO. Przede wszystkim jednak korporacje międzynarodowe, które amerykański polityk uważa za prawdziwe ośrodki władzy i obwinia o różne grzechy popełnione w mętnej wodzie globalizacji. Jaka jest alternatywa? To chyba jasne: dalsza, jak dawniej, hegemonia Zachodu, czyli w praktyce Ameryki.

Demografia: realny problem Zachodu

Jedynym w pełni zobiektywizowanym czynnikiem, który od kilkunastu lat uzasadnia alarmistyczne głosy o zmierzchu Zachodu są tendencje demograficzne, a przede wszystkim spadek urodzeń we wszystkich państwach tego obszaru. W wielu z nich, głównie w Europie, wskaźnik urodzeń jest niższy niż śmiertelności. Nieco lepiej jest w Stanach Zjednoczonych, gdzie ilość urodzeń tylko raz w historii osiągnęła ujemny poziom przyrostu naturalnego. Nastąpiło to w latach 30. XX wieku i było skutkiem ogromnej recesji gospodarczej, do której doszło po wielkim krachu na giełdzie nowojorskiej w październiku 1929 r. Problemy demograficzne Zachodu łagodzone są przez znaczny dopływ imigrantów, głównie ludzi młodych pochodzących z różnych kręgów kulturowych. Rodzi to jednak wiele dalszych problemów o charakterze ekonomicznym, rasowym, religijnym i politycznym.

Procesy demograficzne zachodzące w obrębie cywilizacji zachodniej nie są jednakowe. Charakteryzują się zarówno podobieństwem, jak i znacznym zróżnicowaniem. Stany Zjednoczone zachowują większą prężność demograficzną niż Europa, ale wynika to głównie ze specyfiki rasowej amerykańskiego tygla, w którym tradycyjnie wyższym wskaźnikiem rozrodczości wykazują się rasy pochodzenia nieeuropejskiego (Latynosi, Azjaci, Afroamerykanie). Europa, pomimo zwiększającej się imigracji z obszarów innych cywilizacji, głównie islamskiej, gdzie kobiety charakteryzują się tradycyjnie wyższą dzietnością, pozostaje nadal rasowo bardziej jednorodna, a to prowadzi do smutnej konstatacji, że po obu stronach Atlantyku białe rodziny mają coraz mniej dzieci, co tworzy wspólny mianownik problemów demograficznych Zachodu. Problem musi więc tkwić w kulturze, ale zanim powiemy więcej o przyczynach tego zjawiska, rozpatrzmy jeszcze jego zasięg i skalę.

Powagę sytuacji ilustrują dane statystyczne ukazujące zmniejszanie się procentowego udziału ludności Zachodu w całości populacji świata. O ile w 1900 r. było to 30%, a dalsze 15% mieszkało na obszarach kontrolowanych przez Zachód, o tyle w 1950 r., było to odpowiednio: 25% i 20% całości populacji. Znaczne przyspieszenie niekorzystnych dla Zachodu procesów demograficznych, mimo pokolenia *baby boomers* (boomu urodzeń) lat 50., nastąpiło na początku lat 60. XX wieku i wiązało się z jednej strony z coraz szybszym spadkiem urodzin w Ameryce i Europie Zachodniej, a z drugiej z eksplozją demograficzną w krajach Trzeciego Świata. W 1970 r. udział ludności Zachodu zmniejszył się do 14,4%, a w 2006 r. wyniósł

około 12% populacji globu¹⁸. W tym samym czasie udział ludności krajów rozwijających się wzrósł z 76% w 1970 r. do około 82% w 2005 r.

Prognozy nie są optymistyczne dla Zachodu. Przewiduje się, że do 2025 r. nastąpi dalszy spadek udziału ludności tego obszaru do 10,1% populacji świata, a do 2050 r. do ok. 9%. Ten malejący udział ludności Zachodu przełoży się także na inne wskaźniki, takie jak udział w światowym PKB, w światowej produkcji przemysłowej i innych działach gospodarki, a także we wskaźnikach dotyczących potencjału wojkowego, zwłaszcza jeśli chodzi o procentowy udział armii krajów zachodnich w siłach zbrojnych całego świata. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można prognozować, że obniżeniu ulegnie udział Zachodu we wszystkich tych sektorach ludzkiej działalności, w których proces wytwórczy opiera się na wysokiej liczbie ludności, lub tam, gdzie ilościowy potencjał ludnościowy jest istotnym czynnikiem rozwoju. Zachód może zachować lub nawet zwiększyć przewagę na przykład w sektorze badawczo-rozwojowym i innowacyjnym – choć i to budzić może pewne wątpliwości – lecz trudno będzie ją utrzymać w sektorach bardziej ekstensywnych, zależnych od procesów demograficznych.

Przedstawione liczby nie odzwierciedlają jednak prawdziwej skali problemów demograficznych Zachodu, gdyż ujmują tzw. przyrost rzeczywisty, a więc obraz mieszkańców tego obszaru otrzymany przez zestawienie przyrostu naturalnego i współczynnika migracji. Prawdziwy problem Zachodu, a przede wszystkim Europy (zarówno Zachodniej, jak i Wschodniej), polega na tym, że tracana jest zdolność do reprodukcji prostej (odtworzenia) ludności. Odpowiedni najniższy wskaźnik, gwarantujący reprodukcję prostą wynosi 2,00 urodzenia na jedną kobietę (tzw. wskaźnik rozrodczości), przy czym do jakiegokolwiek rozwoju (przyrostu naturalnego) potrzebny jest wskaźnik wyższy, na poziomie 2,01. Europa już dawno zatraciła tę zdolność, Stany Zjednoczone nadal ją zachowują, gdyż mają wskaźnik 2,08 urodzeń na jedną kobietę w wieku rozrodczym. Cały obszar Europy, z wyjątkiem Albanii, charakteryzuje się wskaźnikiem dzietności poniżej 2,00 przy czym najniższe wskaźniki wykazują niegdyś uznawane za prężne demograficznie kraje Europy Południowej (Hiszpania, Włochy), gdzie współczynnik ten nieznacznie przekracza 1,00. Najwyższym wskaźnikiem charakteryzuje się Francja – 1,97, co nie tyle jest zasługą rodowitych Francuzów, co przybyłych do Francji emigrantów z krajów Maghrebu i innych krajów frankofońskich¹⁹. W Polsce odpowiedni wskaźnik wynosi 1,24 i jest jednym z najniższych w Europie. W 2020 r. średni wskaźnik dla Europy spadnie do 0,76.

Sytuację demograficzną niektórych krajów Unii Europejskiej ratuje imigracja, dzięki której, przy ujemnym przyroście naturalnym, mogą one nadal chwalić się przyrostem rzeczywistym, a więc wzrostem liczby mieszkańców. Dotyczy to szczególnie takich krajów jak Niemcy, Francja, Wielka Brytania czy Holandia. Nie zmienia to jednak faktu, że od dwóch generacji sytuacja demograficzna Europy Zachod-

¹⁸ Obliczenia własne na podstawie danych UN, *Population Division*, New York 1993 oraz wolnej encyklopedii Wikipedia, <http://www.wikipedia.org/wiki/demografia>. W 1970 r. zniknęła, podawana we wcześniejszych danych pozycja „obszarów kontrolowanych przez Zachód”, co należy łączyć z definitywnym rozpadem imperiów kolonialnych.

¹⁹ Dane na podstawie: *Human Life International*, <http://www.hli.org.pl/egi-bin/hlinews/print114985387>; <http://www.hli.org.pl/egi-bin/hlinews/egi?newsid14553> (4 V 2007).

niej, ale także coraz bardziej Europy Środkowej i Wschodniej (zwłaszcza Rosji) pogarsza się. Kraje europejskie, a zwłaszcza zachodnia część kontynentu, już w latach 60. XX wieku weszły w tzw. fazę posttransformacyjną, charakteryzującą się tym, że współczynnik zgonów i urodzeń stabilizuje się na niskim poziomie a liczba ludności pozostaje stała lub spada. Dodatkowym elementem jest wzrost oczekiwanej długości życia, która staje się relatywnie coraz wyższa, powodując podniesienie średniej wieku i duży odsetek ludzi starych. Klasycznym przykładem stały się Włochy, kraj niegdyś (szczególnie w okresie faszyzmu) chęłpiący się symbolem *l'amante latino*, gwarantującym „miłość i rozrodcość”, z którego dumny był każdy Włoch, a obecnie wykazujący się wyższym wskaźnikiem zgonów (9,8‰) niż urodzeń (9,4‰).

Sytuacja ta ma i mieć będzie dalsze reperkusje. Przede wszystkim, mimo napływu emigrantów, liczba ludności Europy spada. Na razie w stopniu ledwie zauważalnym (w 2000 r. Europa liczyła 729 mln 986 tys., w 2005 r. – 724 mln 722 tys.), lecz prognozy przewidują coraz wyższe tempo spadku. Przewiduje się, że w 2025 r. ludność Europy wyniesie 696 mln 036 tys., a w 2050 r., około 650 mln osób. Procesy te nie rozkładają się równomiernie. Większe problemy mieć będą kraje biedniejsze, które mimo relatywnie wyższego przyrostu naturalnego, nie są krajami imigracji i same raczej dostarczają emigrantów krajom bogatszym. Dla tych ostatnich, dzisiejszy problem polityków i obywateli innych krajów, czyli emigranci z różnych stron świata (z preferencjami dla Europy Wschodniej), jutro może stać się dobrodziejstwem ratującym budżet socjalny. Starzejąca się Europa już dzisiaj stoi przed problemem utrzymania zwiększającej się liczby emerytów. W większości krajów Europy Zachodniej na jednego emeryta przypadają tylko cztery osoby w wieku produkcyjnym. Może to prowadzić do załamania się systemu emerytalnego tych państw, zacznie bowiem brakować siły roboczej, zdolnej utrzymać rosnącą armię emerytów. W 2050 r. na jedną osobę w wieku ponad 65 lat, przypadną zaledwie dwie osoby w wieku produkcyjnym, a średnia wieku połowy Europejczyków przekroczy 50 lat. Jeśli kraje Europy Zachodniej nie przeprowadzą w najbliższych latach radykalnej reformy swych systemów emerytalnych, to czeka je kryzys finansów publicznych²⁰.

Podobny problem zaczyna nurtować Japonię, której mieszkańcy mogą oczekiwać najdłuższego życia spośród mieszkańców świata. W lepszej sytuacji jest Ameryka, ale przede wszystkim dlatego, że jej sytuację demograficzną łagodzi napływ imigrantów. Wykazując się ciągle wskaźnikiem rozrodcości kobiet z nieznacznie przekraczającym 2,0 (do tego malejącym) i wysokim współczynnikiem imigracji – 3,31 na 1000 mieszkańców, Amerykanie mogą znacznie spokojniej patrzeć w przyszłość niż Europejczycy. Przewiduje się, że ludność Stanów Zjednoczonych, która 17 października 2006 r. przekroczyła liczbę 300 mln, wzrośnie do 415 mln w 2050 r., a średni wiek mieszkańca USA wyniesie 39 lat²¹. Pozwoli to Stanom Zjednoczonym

²⁰ Zob.: G. Górny, *Siwy przyływ, czyli zmierzch Europy*, http://www.opoka.org.pl/biblioteka/P/PS/siwy_przyplyweu.html (18.03.2007).

²¹ Zob. komentarz na ten temat w oparciu o dane US; Census Bureau, R. Jackson, *300 Million Americans: What Does it Mean?*, www.csis.org (18 October 2006).

na utrzymanie odpowiedniej części populacji w wieku produkcyjnym, wystarczającej do utrzymania dochodu narodowego i wzrostu gospodarczego w dotychczasowych proporcjach w stosunku do trendów światowych. Nie ziszcza się natomiast, według opinii analityków, marzenia strategów amerykańskich o możliwościach przejęcia przez Unię Europejską i Japonię części obciążeń z tytułu zapewnienia Zachodowi bezpieczeństwa militarnego, gdyż według prognoz, oba te obszary zanotują do 2050 r. ubytek ludności w wysokości 137 mln. Stany Zjednoczone będą więc musiały nadal, a może nawet w coraz większym stopniu, dźwigać ciężar głównej odpowiedzialności (i wydatków), za bezpieczeństwo Zachodu.

Nie wszyscy w Stanach Zjednoczonych podzielają jednak optymistyczną wizję rozwoju amerykańskiej populacji. Coraz częściej i coraz głośniej podkreśla się, że może to być już inna Ameryka, odmienna mentalnie i kulturowo, gdyż wskaźnik ludności białej pochodzenia europejskiego może spaść poniżej 50%. Dla niektórych polityków, naukowców i publicystów symptomy kryzysu kulturowego i demograficznego już dziś są na tyle poważne, że zaczynają oni bić na alarm. W *Śmierci Zachodu* Buchanan pisze na ten temat, odnosząc się przede wszystkim do cywilizacyjnego fenomenu (będącego głównie cechą Zachodu) spadku dzietności kobiet i generalnie liczebności rodzin:

Skoro dziesiątki milionów amerykańskich młodych mężczyzn i kobiet zdecydowanie nie chce mieć dzieci albo nie chce mieć więcej niż jedno dziecko, Ameryka albo zaakceptuje masową imigrację albo podzieli los Japonii i Europy. Ale Ameryka ma jeszcze czas na działanie. Jeśli więc Amerykanie chcą zachować swoją cywilizację i kulturę, amerykańskie kobiety muszą mieć więcej dzieci. Gdy nie ma gwarancji, że sama zachęta rządu zmieni nastawienie kobiet, można na powrót wpleść do polityki narodowej wątek prorodzinny i promacierzyński. Bo co jest ważniejsze niż trwałość amerykańskiego narodu i kraju?²²

Co jest przyczyną tego problemu? Czy są to symptomy znacznie głębszego kryzysu Zachodu, czy ujawniające się oznaki ogólnych procesów demograficznych? Problem jest skomplikowany, ale w tym miejscu ograniczę się tylko do niektórych kwestii kulturowych mających związek z demografią. Wspomnianemu procesowi spadku procentowego udziału ludności Zachodu w całości populacji świata, towarzyszy jeszcze jedna tendencja – spadek udziału państw Zachodu w statystykach najludniejszych państw świata.

O ile w 1950 r. wśród 12 największych pod względem ludnościowym państw świata było 6 państw zachodnich (USA, Japonia, RFN, Wielka Brytania, Włochy, Francja), o tyle w 2000 r. już tylko 3 (USA, Japonia, Niemcy), a w 2050 r. pozostanie tylko jedno państwo – Stany Zjednoczone. Jednocześnie w miarę rozwoju populacji świata, od pewnego momentu zaznacza się też spadek tempa eksplozji demograficznej (momentem granicznym jest rok 1999), by według prognoz, ustabilizować się gdzieś na przełomie XXI i XXII wieku na poziomie niewiele przekraczającym reprodukcję prostą²³.

²² P. J. Buchanan, *op. cit.*, s. 302.

²³ Dane na podstawie: *UW Source 2005*. Niektóre prognozy sięgają dalej i mówią, że do tego momentu nastąpi spadek liczby ludności świata.

Przedstawione tendencje sugerują, że przyczyny demograficznego kryzysu Zachodu tkwią przede wszystkim w nim samym, a z drugiej strony pojawiają się sygnały innego zjawiska, którego do końca nie rozumiemy, ale które być może sprowadza się do tego, że świat coraz bardziej będący globalną wioską może ulegać procesom uniwersalizacji, także w takiej kwestii jak demografia. Jeśli chodzi o Zachód, przyczyn pogłębiającego się kryzysu demograficznego należy upatrywać w przemianach kulturowych, społecznych i gospodarczych, które zostały zapoczątkowane w latach 60. XX wieku, choć zapewne korzeniami sięgają głębiej. Główne wektory tych przemian, w warunkach dojrzewającego szczególnie w Europie Zachodniej, państwa dobrobytu, to nowe wzorce konsumpcji i zmian wzorców kulturowych, odchodzenie od religii, kształtowanie nowych postaw moralnych, zarówno zbiorowych, jak i indywidualnych. Ukształtował się nowy model życia, w którym liczy się kariera, pieniądze, wygoda i komfort. W tej skali wartości posiadanie dzieci przestało być priorytetem, a nawet mogą one przeszkadzać w jego realizacji.

Przemiany te charakteryzowały się występowaniem jeszcze jednego czynnika, który niezwykle destrukcyjnie oddziaływał na zdolności prokreacyjne jednostek i całego społeczeństwa. Była nim kultura śmierci, ukształtowana znacznie wcześniej niż jej ponura nazwa. Jej zapowiedzią stała się pigułka antykoncepcyjna, od początków lat 60. XX wieku rozpowszechniona w Stanach Zjednoczonych a potem w Europie. Pod koniec lat 70. już blisko połowa kobiet Zachodu zażywała pigułki antykoncepcyjne częściej niż aspirynę, a wkrótce tym kobietom, którym zdarzył się przypadek zapomnienia lub braku zdolności przewidywania skutków nowego stylu życia, w sukurs przyszedł wynalazek profesora É. É. Beaulieu – pigułka poronna (RU-486). W miarę bezboleśnie usuwała ona skutki „roztargnienia”²⁴. Wiele kobiet poddawało się zabiegowi aborcji, a ich liczba, w miarę jego legalizacji, gwałtownie rosła. Tam, gdzie aborcja była zakazana, stworzył się czarny rynek aborcyjny. Oblicza się (choć brak dokładnych danych), że obecnie w Europie Zachodniej przeprowadza się około 3 mln zabiegów, w Stanach Zjednoczonych ponad 2 mln, a w Polsce – jak się szacuje (biorąc pod uwagę formalny zakaz aborcji) około 200 tys.

Aborcja, antykoncepcja, sterylizacja, eutanazja to „twarde” aspekty kultury śmierci. Bardziej łagodne, w wersji *soft*, to rewolucja narkotykowa prowadząca do stopniowej legalizacji lekkich narkotyków w niektórych krajach Europy, kryzys małżeństwa, rozwody, wolne związki. Model DINKS (*double income, no kids*), wolnego związku kobiety i mężczyzny, obojga pracujących, bez dzieci, zastępuje tradycyjny związek małżeński, osłabiony dodatkowo szumem panującym wokół wolności dla związków homoseksualnych.

Swój wkład w rozpad tradycyjnych związków i instytucji rodzinno-społecznych wnoszą także ruchy feministyczne, mające niekiedy więcej wspólnego z seksizmem niż z działaniami na rzecz równouprawnienia kobiet. Te ostatnie różne miały oblicza, nie zawsze przybierające postać słusznych postulatów o prawa wyborcze kobiet. Równie mocno przebiły się inne symbole. Na Wschodzie były to kobiety na

²⁴ Ponieważ żadna firma amerykańska nie chciała się podjąć produkcji pigułki RU-486, sprawę ostatecznie przejęła firma chińska, spełniając swoją posługę asysty przy samobójstwie Amerykanów. P. J. Buchanan, *op. cit.*, s. 38–39.

traktorze na równi z mężczyznami budujące socjalizm (etos kobiety radzieckiej), a na Zachodzie batalia o prawa do „jednonocnej przygody”, czy do kilku drinków w barze dla mężczyzn.

Elementem nowej gry było odsunięcie autorytetów: Kościołów, filozofów, twórców, intelektualistów. Ukształtowane za prezydentury Kennedy’ego określenie „jajogłowi”, mówiło samo za siebie. Ton zaczęła nadawać kultura masowa i ona też kształtowała wzorce życia i zachowania. Uwagi zawarte w encyklice Leona XIII, *Rerum novarum*, przestrzegające przez zmianą roli kobiety i mężczyzny w społeczeństwie i rodzinie, u progu nowej ery pozostały na papierze. Pracodawcy odeszli od wiekowych zasad, zgodnie z którymi zarobki mężczyzny powinny wystarczyć na utrzymanie całej rodziny. Postulat o równouprawnieniu płci zrównał wszystkich na niższym poziomie. Kobiety poszły do pracy nie mając już czasu na to, by mieć więcej niż jedno dziecko, a jego wychowanie powierzając szkole i instytucjom społecznym (często po prostu ulicy). Kształtowanie nowych wzorców trwa do dziś i ciągle jest w fazie eksperymentów.

Równie szybko, poprzez nowe oblicze demografii, zaczęły sprawdzać się przestrogi Pawła VI, zawarte w encyklice *Humanae vitae*, mówiącej o skutkach antykoncepcji i aborcji. Poważnie Zachód potraktował chyba tylko jedno ostrzeżenie, XVIII-wiecznego uczonego Thomasa Malthusa, który stwierdził, że niekontrolowany przyrost naturalny prowadzić będzie do przeludnienia świata i klęski głodu. Przeciwdziałanie klęsce malthusiańskiej zaczął Zachód – można powiedzieć – od siebie i robi to coraz skuteczniej.

Pęknięcia w cywilizacji euroatlantyckiej

Teza, że Zachód nie jest monolitem, nie jest nowa. Od dawna można było dostrzec, że oba brzegi Atlantyku łączą zarówno wspólne wartości, jak i różnice. Kształtowały się one w toku historycznego procesu rozwoju, odmienności położenia geopolitycznego, rywalizacji i ambicji europejskich mocarstw, ale i amerykańskiej specyfiki, narastającej w warunkach budowy narodu opartego o różne grupy etniczno-kulturowe z całego świata. Korzenie i tradycje europejskie, chrześcijańskie, odgrywały w niej decydującą rolę, ale i wpływ kultur pozaeuropejskich też dawał coraz mocniej o sobie znać.

Oznaki rozwoju i kryzysu w Europie i Ameryce nie są symetryczne: ani w demografii, ani w gospodarce, ani w kulturze, ani w wielu innych dziedzinach, także w polityce zagranicznej i bezpieczeństwa. Przez prawie 50 lat skrzętnie kamuflowały je obawy przed komunizmem i wymogi zimnej wojny. Upadek komunizmu i wraz z nim państwa sowieckiego – „imperium zła”, jak topniejący śnieg odsłonił nagie fakty, a wydarzenia 11 września 2001 r. i ich konsekwencje, w tym kryzys iracki, ujawniły znaczne różnice. Europa i Ameryka przestały udawać, że mają wspólny pogląd na świat i że chciałyby go formować na tę samą modłę.

Zachód zaczął się różnicować i coraz bardziej jest tego świadomy, ale różnice i linie podziałów niekoniecznie przebiegają przez środek Atlantyku. Często przecina-

ją one w poprzek kontynent europejski i amerykański. Niekiedy są one na tyle poważne, że można je nazwać pęknięciami wewnątrz cywilizacji zachodniej. Dotyczy to szczególnie kultury, poczynając od wzorców moralnych i etycznych, nowych kanonów sztuki i piękna, kształtowanych przez kulturę masową, aż po kulturę polityczną i strategiczną. Toczona się od kilkudziesięciu lat wewnątrz społeczeństw Zachodu swoista rewolucja kulturalna prowadzi do podziałów i pęknięć, które niekiedy niewiele mają wspólnego z podziałem na część europejską i amerykańską. Jest to walka w łonie Zachodu o wartości, wzorce i symbole, o granice wolności i tolerancji, o model wychowania i edukacji, o rolę religii i jej związek z kulturą, a także o wiele innych kwestii mających konotację kulturową.

Jak niegdyś w średniowieczu spór o uniwersalia zagrzewał emocje i prowadził do podziałów w łonie Kościoła i chrześcijaństwa, tak dziś spory na tle moralności i kultury prowadzą do pęknięć wewnątrz cywilizacji zachodniej. Niektórzy teoretycy mówią nawet o zderzeniach na tym tle wewnątrz, jak się wydawało, kulturowo-homogenicznej cywilizacji. James Kurth tak mówi na ten temat:

Prawdziwe zderzenie cywilizacji nie następuje między Zachodem a resztą świata. Nastąpi ono między Zachodem a post-Zachodem, wewnątrz samego Zachodu. Zderzenie cywilizacji ma już miejsce wewnątrz mózgu zachodniej cywilizacji w umysłach amerykańskiej klasy intelektualnej. Teraz przenosi się z tej głowy na ciało polityczne²⁵.

Cytat ten i zawarta w nim myśl godna jest uwagi z innego jeszcze punktu widzenia. Różnice kulturowe są sprawą naturalną. Występują nawet w ramach społeczności lokalnych i regionalnych, nie mówiąc o przestrzeniach cywilizacyjnych. Ważne jednak, by nie doprowadzały one do przepaści, by nie zagrażały podstawom wspólnej tożsamości, by nie były przenoszone na sprawy najważniejsze dla narodów, na sprawy egzystencjalne, a więc na bezpieczeństwo, na wspomniane w cytacie „ciało polityczne”. Problem polega na tym, na ile różnice kulturowe są ujmowane w postaci teorii, doktryn i strategii politycznych. Oznacza to bowiem nie tylko faktyczne pęknięcia, lecz rosnące niebezpieczeństwo zderzeń wewnątrz cywilizacji. Pęknięcia tworzyć się mogą same pod wpływem zmian kulturowych, lecz do tego, aby doszło do zderzenia, niezbędny jest także element woli. W kwestii kultury, programów rozwoju, moralności, gospodarki, a nawet polityki, zderzenia są nieuchronne, w kwestiach podstawowych wartości niewykluczone, ale w kwestiach nadrzędnych, takich jak wspólne bezpieczeństwo – szkodliwe, bo mogą prowadzić do zanegowania istoty sojuszy polityczno-militarnych. To one, a przede wszystkim utworzenie NATO, Sojuszu Północnoatlantyckiego, w 1949 r., przesądziło o tym, że obok terminu „Zachód”, pojawiło się pojęcie „cywilizacji euroatlantyckiej”. Cementowały ją, obok poczucia wspólnego zagrożenia przed komunizmem, wspólne wartości, takie jak: demokracja, prawa człowieka, ochrona mniejszości narodowych i ich praw, wolności religijne, gospodarka rynkowa, państwo prawa, uspołecznianie decyzji politycznych i otwartości życia politycznego, tolerancja dla innych poglądów, ale

²⁵ J. Kurth, *The American Way of Victory*, „National Interest” 2000, Summer, s. 5, cyt. za: P. J. Buchanan, *op. cit.*, s. 315.

i determinacja w przestrzeganiu zasad społeczeństwa demokratycznego i obywatelskiego. W przypadku zaś stosunków międzynarodowych, to Zachód, a przede wszystkim Stany Zjednoczone, stworzyły zręby nowych porządków, poczynwszy od programu prezydenta Wilsona (słynne „14 punktów”). Ich trzonem był silny multilateralizm (Liga Narodów, a po II wojnie światowej ONZ), prawo międzynarodowe, zakaz wojny i użycia siły, rozwój prawa międzynarodowego, pokojowe rozstrzyganie sporów międzynarodowych, zasada równości i suwerenności, poszanowania praw człowieka, sądownictwo międzynarodowe, powszechny system bezpieczeństwa międzynarodowego oparty na szczególnej pozycji wielkich mocarstw jako stałych członków Rady Bezpieczeństwa. Tak więc powstała cywilizacja euroatlantycka, oparta na potędze gospodarczo-militarnej Stanów Zjednoczonych i łączącym oba brzegi Sojuszu Północnoatlantyckim, jako gwarantem zachowania demokratycznych swobód, zasad i wartości wolnego świata. Czy wartości te, zasady i struktury są nadal podstawą i spoiwem cywilizacji euroatlantyckiej i jej systemu bezpieczeństwa?

Można powiedzieć, że w dużym stopniu tak, choć dystans, który zawsze istniał dzięki „wielkiej wodzie”, jakby się powiększał. Widać to wyraźnie w takich dziedzinach jak kultura strategiczna, zwłaszcza w zakresie percepcji zagrożeń dla bezpieczeństwa, rola czynnika militarnego i użycia siły w stosunkach międzynarodowych czy stosunek do ONZ i multilateralizmu²⁶. Różnice i problemy, które narosły między Europą a Ameryką na tle kryzysu irackiego nie były incydentem, a raczej potwierdzeniem coraz większych różnic. Ale oba brzegi Atlantyku nadal więcej łączy niż dzieli, w tym podzielane wspólnie wartości, takie jak wiara w demokrację, gospodarkę rynkową, praworządność, prawa człowieka. Łączą wspólne korzenie, ale zaczyna dzielić stosunek do religii. W Unii Europejskiej, przynajmniej oficjalnie, religia znaczy coraz mniej, a w Ameryce bardzo wiele. Coraz bardziej dzieli je także percepcja kierunków rozwoju świata i wizja nowego porządku międzynarodowego.

Stany Zjednoczone są nadal supermocarstwem, ze wszystkimi parametrami tego statusu, ale być może to właśnie przewaga militarna i myślenie na „częstotliwości militarnej” najlepiej oddaje amerykańską specyfikę. Ameryka jest hegemonem, który na tym tle zaczyna mieć problemy sam ze sobą: utrzymanie przewagi militarnej staje się celem samym w sobie. Wizja utraty dominacji staje się obsesją i przekleństwem²⁷.

Natura nowych, zwłaszcza asymetrycznych zagrożeń dla bezpieczeństwa powoduje, że do ich zwalczania Stany Zjednoczone nadal potrzebują Europy. Potrzebują jej także do tego, by próbować zmieniać porządek międzynarodowy i współkształtować odpowiedzialność za bezpieczeństwo międzynarodowe, choć ani z rozmiarów ani z form europejskiego wkładu w bezpieczeństwo (głównie chodzi o ESDP) Amerykanie nie są zbyt zadowoleni. Natomiast jeszcze bardziej potrzebuje Ameryki Europa i to zarówno do zwalczania cywilnych, „miękkich”, jak i „twardych” zagrożeń,

²⁶ Pisałem szczegółowo na ten temat w artykule *Bezpieczeństwo euroatlantyckie. Nowe zagrożenia, nowe wyzwania*, „Krakowskie Studia Międzynarodowe” 2004, nr 4, s. 9–22.

²⁷ Doskonale wyczuwają to amerykańscy politolodzy – Zbigniew Brzeziński i Noam Chomsky. Zob. Z. Brzeziński, *Wybór. Dominacja czy przywództwo*, Kraków 2004, s. 236–254; N. Chomsky, *Hegemonia albo przetrwanie. Amerykańskie dążenie do globalnej dominacji*, przeł. W. Turopolski, Warszawa 2005, s. 161–174.

nawet jeśli europejska percepcja ich nie wyczuwa. Powrotu do stosunków transatlantyckich z okresu zimnej wojny i bezkrytycznej akceptacji amerykańskiego przywództwa przez Europejczyków już jednak nie będzie. Stosunki transatlantyckie coraz mniej będą wspólną wartością a coraz bardziej wspólną interesów. Jednak, jak twierdzi Roland Asmus: „ciśnienie globalnych problemów zassie Amerykę i Europę do współpracy”²⁸. Aby tak się stało, Zachód musi przeprowadzić restrukturyzację swojej współpracy, uzgodnić priorytety, podjąć dyskusję na temat wartości i przywództwa.

Dla stosunków transatlantyckich błogosławieństwem jest istnienie NATO. Sojusz przechodzi trudną transformację, ale nadal pozostaje spoiwem tych stosunków. Jednak jego rola i zadania zmieniają się – można powiedzieć – pod dyktando Stanów Zjednoczonych. Staje się zwolna, choć przy oporze „starej Europy”, narzędziem *global governance*, globalnego zarządzania bezpieczeństwem, także poza obszarem traktatowym. Narzucona jeszcze w okresie D. Rumsfelda koncepcja NATO jako „skrzynki na narzędzia” oraz twierdzenie, że „misja określa koalicję”, nie umacniały NATO jako paktu wojskowego, a osłabiły i tak niepełny automatyzm art. 5. traktatu waszyngtońskiego. Wydaje się jednak, że NATO ulegnie ewolucji, biorąc pod uwagę zmiany, jakie nastąpiły w kierownictwie Pentagonu oraz krytykę wyżej wspomnianych koncepcji podjętą na ostatnim szczycie w Rydze w listopadzie 2006 r. Skutkiem osłabienia *casus foederis* NATO może być też większa mobilizacja Europejczyków przy budowaniu efektywnej Europejskiej Polityki Bezpieczeństwa i Obrony (ESDP).

Zachód: odrodzenie czy dalsza degradacja?

„Zachód jest najbardziej rozwiniętą cywilizacją w historii a Ameryka najbardziej rozwiniętym krajem”²⁹, te słowa Patrick Buchanan wypowiedział z równie głębokim przekonaniem, co przestrogi o kryzysie i zmięczeniu Zachodu. Kiedyś wpływy Europy, wraz z ekspansją, przenosiły się na cały prawie obszar świata, dziś to potęga Ameryki obejmuje wszystko, co nazywa się „Zachodem” i sięga dalej³⁰: najpierw rozprzestrzenia się na Europę tak daleko, jak sięga NATO, następnie na dziedzictwo imperium brytyjskiego, przede wszystkim Kanadę, Australię, Nową Zelandię. Do tego w dalszej kolejności dochodzi Turcja, Izrael, Japonia, Korea Południowa, Filipiny. Wpływy rozciągają się, w różnym stopniu, na Amerykę Łacińską, niektóre kraje arabskie, znaczny obszar Azji Południowo-Wschodniej. To prawdziwe *Imperium Americanum* pod wieloma względami przypominające Imperium Romanum.

Ale tak jak Jowisz nie dał Rzymianom *imperium sine fine*, tak potęga Ameryki i Zachodu nie będzie trwać wiecznie. I nie chodzi tylko o względy egzystencjalne, przemijania. Symptomy kryzysu są coraz wyraźniejsze. Najsilniejsze z nich związa-

²⁸ Zob.: www.csm.org.pl/files/seminar/2003/knf_i_sem_0703.pdf.

²⁹ P. J. Buchanan, *op. cit.*, s. 297–298.

³⁰ Również i w tym rozciąganiu wpływów Ameryka bardziej jednak podobna jest Imperium Rzymskiemu niż Europie nowożytnej, podkreśla Peter Bender w swej książce *Ameryka. Nowy Rzym*, przeł. A. i A. Krzemiński, Warszawa 2004, s. 208.

ne są z demografią. Europa już od siedmiu lat notuje spadek liczby ludności, Amerykę ratują przyływy emigrantów. Europa starzeje się w zastraszającym tempie, otwarcie granic dla przybyszów spoza Unii będzie więc nieuchronne. Za jaką jednak cenę?

Migracja ludzi różnych kolorów skóry, wyznań, kultur i zwyczajów tworzy mieszaninę wybuchową, skalę problemów nie do wyobrażenia. Wizja płonących przedmieść Paryża i innych miast Francji sprzed dwóch lat staje się nocnym koszmarem burmistrzów wielu miast charakteryzujących się wielorasową i wielokulturową populacją. Jest jednak jeszcze gorzej. Tak jak napływ Łatynosów zmienia Zachodnie Wybrzeże, a może i całą Amerykę na tyle, że mówi się o zmianie tożsamości Stanów Zjednoczonych, tak migracja islamska zmienia Europę Zachodnią. Kraje, które jak ognia unikają jakiegokolwiek wzmianki o chrześcijańskich korzeniach Europy, nie mają oporów w wydawaniu masowych zezwoleń na budowę meczetów, nie robią też nic, by uzyskać jakiegokolwiek wpływu na innych obszarach wyznaniowych poza Europą.

Można by powiedzieć, że istnieje swoista symetria między tolerancją Zachodu a nietolerancją Wschodu, choć tu przede wszystkim chodzi o islam. Jednocześnie widmo zderzeń kulturowych i cywilizacyjnych tak paraliżuje Zachód, że erozji ulegają kanony wolności i równości. Niemieckie gazety kpią z katolicyzmu, ale jak ognia unikają podobnych aktów wobec islamu, a w Stanach Zjednoczonych obawy związane z potencjalnymi zamieszkami na tle rasowym są tak wielkie, że gdy w sądach zderzają się racje białych lub kolorowych, to można mieć pewność, iż argumenty tych ostatnich wezmą górę. Syndrom procesu (a raczej jego skutków) O. J. Simsona tak zrelatywizował amerykański wymiar sprawiedliwości – a podobnych przypadków jest bez liku – że coraz częściej na uniwersyteckich wykładach prawa karnego, służy on jako przykład patologii, po który sięga się równie łatwo jak po przykłady rodem z Rosji, Białorusi czy krajów islamskich.

Zjawiska po obu stronach Atlantyku nie są jednak symetryczne. Stany Zjednoczone, mimo takich czy innych oznak słabości, dekadencji czy kryzysu, są jednak znacznie prężniejsze, szybciej się rozwijają, monopolizują sferę nauki i innowacyjności. Mają wizję utrzymania hegemonii, a to oznacza ekspansję. Są źle rządzone, nie wykorzystują więc możliwości, a w dodatku szkodzą własnemu wizerunkowi. Ale równocześnie nie tracą przewagi, a w niektórych sferach nawet ją powiększają.

Gorzej jest z Europą. Co prawda Jeremy Rifkin stwierdził, że Europa (Unia Europejska) jest lepsza, bo zapewnia swoim obywatelom kapitalizm z ludzką twarzą, czyli osłony socjalne, ale niewielu Amerykanów, pomimo krytykowania własnego systemu, jest skłonnych tę tezę podzielić³¹. Skutki są zresztą znane. Unia Europejska przegrywa wyścig o wpływy w światowej gospodarce, staje się coraz mniej konkurencyjna i innowacyjna, pópaada do tego w zależności. Dysponując PKB piętnastokrotnie wyższym niż Rosja, w niebezpieczny sposób uzależnia się od tego kraju, traktującego surowce energetyczne jako narzędzie ekspansji.

³¹ Takie jest przesłanie książki Jeremy Rifkina, *Europejskie marzenie*, przeł. W. Falkowski, Warszawa 2005.

Nie jest to jedyny przykład europejskiej beztroski w podejściu do spraw bezpieczeństwa. Co prawda europejska percepcja zagrożeń dla bezpieczeństwa jest inna niż amerykańska i Europa nie czuje się, od kiedy upadł komunizm a z nim ZSRR, szczególnie zagrożona (pozostaje głucha wobec nawrotu patologii w polityce rosyjskiej), ale problem polega na tym, że również nowe zagrożenia Unia Europejska postrzega inaczej niż Ameryka. Przekłada się to na europejskie podejście do NATO oraz do budowy własnych zdolności obronnych w ramach ESDP. Status amerykańskiego protektoratu, w ramach którego w czasie zimnej wojny Stany Zjednoczone rozciągały nad Europą wojskowy parasol ochronny, bardzo Europie odpowiadał.

Relacje sił, potencjału i wpływów w świecie wolno zmieniają się na niekorzyść Zachodu. Tendencja ta wydaje się pogłębiać, zwłaszcza w miarę zmian proporcji populacji i zmniejszania się udziału ludności państw Zachodu w populacji globalnej. Do tego dochodzą inne źródła narastających słabości. Zachodowi nie brakuje bowiem ani środków, ani zdolności, by odeprzeć zagrożenia, przezwyciężyć słabości, stworzyć podstawy odrodzenia. Problem polega na braku chęci i silnej woli oraz determinacji, by tego dokonać.